



"Karczma Pod Krzywym Ryjem"

To zbiór opowiadań. Pisałem je w Berlinie w latach od 1995 do 2000.

Wiele w nich wątków autobiograficznych.

Niestety znów miałem pecha. Wydawca mojej książki Cindarella Books z Warszawy Pan Andrzej Zasieczny okazał się nieuczciwym partnerem. Przywłaszczył moje pieniądze, które zgodnie z umową wpłaciłem na jego konto.

Wdrukował prawdopodobnie tylko sto egzemplarzy, które dotarły do mnie przed prezentacją książki w Szczecinie. Od dwóch lat nie reaguje na moje listy i e-mail'e. W tej sytuacji firma windykacyjna zajmuje się odzyskaniem moich pieniędzy. Pan Zasieczny traci wszelkie prawa do tej książki. Bardzo to smutne i niezbyt dobrze świadczy o poziomie moralnym współtwórców kultury polskiej.

Wybrałem dla Państwa dwa opowiadania. Jeżeli będziecie zainteresowani książką, to proszę napisać do mnie.

Wszelkie prawa do tej książki są zastrzeżone, chronione prawem autorskim.

Kopiowanie i cytowanie tylko za zgodą autora.

Urodziny

Wstaję pół godziny wcześniej. Dwudziesty ósmy czerwca. Moje urodziny. Wkładam do toreb podróżnych półmiski z kanapkami, tatarem, kilka butelek wódki i sernik własnego wypieku. Nie mogę zawieść kolegów z pracy - na to czekają, przymawiają się kokieterijnie.

Jak każdego roku spijemy się, a jedzenie zniknie do ostatniego okruszka. Alkohol w pracy surowo zabroniony, ale i kierownicy produkcji nie pogardzą symbolicznym toastem. Tak, potrzebuję dodatkowo pół godziny na pakowanie i doniesienie ciężkiego bagażu do stacji kolejki podziemnej Zwickauerdamm. To niedaleko, pięćset metrów. Dokładnie wymierzyłem czas - droga z mojego mieszkania na dziewiątym piętrze na peron, zajmuje dziesięć minut. Niezależnie od pogody. Nawet jak się winda zepsuje, mam jeszcze psychiczny luksus - jadąc następnym pociągiem i tak zdążę do pracy. Tak to sobie przezornie obliczyłem. Przy morderczej produkcji gliny ceramicznej każda minuta snu i odpoczynku liczy się na wagę złota. By trwać, zarabiać i nie paść z przetrąconym krzyżem.

Żaden ze mnie twardziel, żadna góra mięśni, jestem raczej drobnokościsty, z brzuchem wypchanym słodyczami. Łopatę widywałem do tej pory jedynie w sklepie żelaznym. Od niedawna jest moją nierozłączną przyjaciółką. Mimo że nie sypiam po nocach z powodu bólu zakwaszonych mięśni, jest mi bliska i tęsknię do niej. Jesienią kupię nowy samochód i pojedę z żoną na urlop, przed siebie, nie licząc się z forszą.

Stawiam torby na peronie w zwykłym miejscu, przy drugiej ławce od wejścia. Nadjeżdża kolejka, drzwi otwierają się z sykiem, dokładnie przede mną, a o to chodziło. Krok do przodu, w lewo zwrot i siadam w kącie, na trzyosobowym siedzeniu pokrytym dermą. Naprzeciwko

podobne miejsce. To jakby wydzielony przedział. Resztę wagonu wypełniają dwie długie ławki ciągnące się wzdłuż okien.

Nie muszę spoglądać na nazwy mijanych stacji. Rytm hamowania, ruszania, trzasku otwieranych i zamykanych drzwi, zmieniających się głosów zawiadowców - tu stacja... do ... nie wsiadać... - to wewnętrzna melodia, rozbrzmiewająca w mojej głowie. Przesiadka, Berliner Strasse, ruchomymi schodami w górę, przejście do linii w kierunku Osloer Strasse. Mam za sobą dwadzieścia pięć minut podróży, a do mojej końcowej stacji jeszcze niespełna dziesięć. Peron. Tym razem stoję przy kiosku z gazetami. Wiem, że dokładnie przede mną otworzą się jedyne z dziesiątków drzwi.

Nie zawsze znajduję miejsce. To środek Berlina. Lubię siedzieć i czytać książkę. Raz dziennie, przez trzydzieści pięć minut, trzydzieści pięć minut rannej podróży, mogę skorzystać z tej przyjemności. W powrotnej drodze jest to niemożliwe. Nie dlatego, że tłoczno, że częściej nie ma wolnego miejsca. Po prostu zasypiam przy pierwszym zdaniu, nawet na stojąco. Próbuję, a nuż? Książka wymyka się z rąk i głucho spada na podłogę. Jestem nieprzypadkiem zmęczony.

Hansaplatz. Wsiadam. Ruszam spokojnym krokiem platanową aleją. Mijam zadbane domy i ogrody. Wdychając czyste powietrze, tak bardzo potrzebne w kurzu fabryki, zbliżam się do miejsca praktykowania mojej pokory - Królewskiej Fabryki Porcelany. Tutaj mierzę świat miarą ciężkiej pracy. O siódmej rano, wraz z buczeniem syreny, przebrany w kombinezon roboczy melduję się w kantorze, u majstra.

Dzisiaj, dwudziestego ósmego, książkę zostawiam w domu. Zawartość toreb musi znaleźć się na stole nie naruszona. Jedną ochraniam nogami przyciskając do ławki, drugą trzymam na kolanach. Za mną do wagonu wchodzi Kobieta i siada naprzeciwko, po przekątnej. Zamyka oczy i przyciska plastikową torbę do brzucha. Dalej, na środku ławki pod oknem - dlaczego właśnie tam? - twarzą do mnie siedzi Mężczyzna czytając poranną gazetę. Jedzie od początkowej stacji Rudow. Jestem pewny, że na następnym przystanku do mojego wagonu wsiadą dwie Rozmawiające i usadowią się obok niego nie przestając głośno gadać, co irytuje i Mężczyznę, i mnie. Tuż przy śpiącej Kobiecie staje Młodzieniec w skórzanej kurtce. Zawsze stoi, co prawda niedługo wysiada. No i ten Dziwak, wiecznie zarośnięty, w zdefasowanym filcowym kapeluszu o nieokreślonej barwie, w szarym, długim do kostek płaszczu z powyrywanymi kieszeniami, w zdeptanych trampkach. W ustach kikut zgaszonego cygara. Przez ramię przewieszona - nawet przywoita - torba. Siada przy mnie, w drugim kącie, wyjmując okulary i porwaną, przetłuszczoną książkę. Czyta. Wygląda na bezdomnego, ale chyba nim nie jest. Nie śmierdzi moczem i alkoholem. Pod płaszczem dostrzegam zawsze świeży sweter i koszulę. Widocznie taki ma styl. W porównaniu z kuriozalnymi postaciami, jakie przewijają się przez kolejkę podziemną, mój współtowarzysz z ławki jest zadbanym mieszczuchem. Tutaj po wyglądzie nie ocenia się człowieka. Dziwny kraj.

To załoga wagonu, stali bywalcy na odcinku trzech pierwszych stacji. Znamy się od miesięcy, lat, a udajemy, że widzimy się po raz pierwszy. Żadnych uśmiechów, żadnych gestów powitania. Wkrótce tracimy wzajemny kontakt w zapełniającym się wagonie. Pryska atmosfera pewnej intymności, poczucie oswojenia przestrzeni, bycia z kimś. Zdarzają się małe katastrofy - wsiadasz, a tu miejsce zajęte. Twoje miejsce! Nie tylko mnie to denerwuje, ale i moich współpasażerów. Znam ich na tyle dobrze, że nie mogę nie dostrzec zimnych spojrzeń jakimi omiatają intruza. Ale jest to publiczny środek komunikacji i każdy wykupując bilet ma takie samo prawo do przejazdu. Demokratyczna równość i różnorodność. Od twojej

fantazji zależy, jak te możliwości wykorzystasz. Stojąc, siedząc, leżąc, kucając. Mimo woli stajesz się kawałkiem groteskowego mikro świata, otoczonego granicą peronów, ruchomych schodów, tuneli, nadjeżdżających i odjeżdżających pociągów.

Pewnego razu siadam, otwieram książkę, ale łapię się na tym, że szukam Młodzieńca w skórze. Nie ma go! A może stoi dalej? Nie, jest na pewno w innym wagonie. Chciałbym spytać Kobietę, ale skąd ona ma wiedzieć?! Zgłupiałem, co to mnie w końcu obchodzi. Był jakiś Młodzieniec, nie ma jakiegoś Młodzieńca. Kropka. Skup się na książce albo na swoich problemach. No, dobrze - ale on już tak od roku, tutaj, w tym miejscu, zawsze! Zmiany wytrącają z równowagi, odbierają poczucie trwałości. Sprawdzam. Chwała Bogu! Wszyscy. Ale są dni, że kogoś brakuje. Zastanawiam się : Urlop? Choroba? Zmiana pracy? Dlaczego Mężczyzna nie czyta gazety? Głowa oparta o okno, zamknięte oczy, ciężki oddech. Zasłabł? Skacowany?

Dziwak interesuje się moimi lekturami - dyskretnie zerka. Zna język polski? To dlaczego nie zacznie wagonowej rodaków rozmowy? Udaję, że nie zauważam jego podglądania.

Wielomiesięczne obserwacje i spekulacje musiały zaowocować wydumanymi portretami każdego z nas. A może tylko ja tworzę takie historyjki? Może oni naprawdę tylko wsiadają, zasypiają, rozmawiają, czytają i wysiadają, nie zaprzatając sobie głowy malowaniem psychologicznych portretów współpodróżnych? Prawdopodobnie tak. Życie jest o wiele prostsze, niż niejednemu się wydaje. Wymyślamy bajki, by za ich parawanem ukryć nasze prostactwo.

A jakby tak skrzyknąć ich, zaprosić do knajpy i zapytać wprost: „ Halo, co myśleliście o mnie, bo ja cały czas bawiłem się w Sherlocka Holmesa! „

Dwudziesty ósmy. Ten kraj wymusza na mnie obchodzenie urodzin. Proponowałem imieniny mówiąc o tradycji, ale nic z tego. Jeśli wlałeś między wrony, musisz krakać jak i one. Dzień ten wywołuje u mnie lawinę wspomnień. Wolałbym go omijać w mojej pamięci i nie przyprawiać goryczą radości świętowania, co zresztą zawsze kończy się gigantycznym kacem. Nie mam jednak wyboru.

Jestem niewyspany. Przygotowania i wcześniejsza pobudka zakłóciły utarty rozkład dnia. Sprawdzam, czy torby bezpieczne i zamykam oczy. Mogę drzemać kilkanaście minut. Jest to jednak sen psa, czujnie reagującego na każdy szmer, ruch, gotowego zawsze do obrony, ataku lub ucieczki. Znowu ta twarz, często pojawiająca się w marach sennych, w półjawie, zbliża się do mnie, paraliżuje wzrokiem, przepona podchodzi mi do gardła, brak tchu, nudności, bezwład w nogach. To Śmierć. Zamiast kosy wycelowany we mnie kałasznikow. Koniec. Zaraz strzeli. Gdzie ostatnie rozliczenie Życia? Lufa automatu hipnotyzuje. Huk motoru, zgrzyt gaśnic, kłapa wieżyczki zamknięta. Śmierć odjeżdża w stalowym czołgu. Wymiotuję. Podtrzymują mnie jakieś ręce.

Poznań pięćdziesiąty szósty. Skrzyżowanie Dąbrowskiego i Kochanowskiego. Morze gapiów, szturm na Urząd Bezpieczeństwa, lecą butelki z benzyną, smalą mur. Strzały z obydwu stron, te oddawane z budynku bezpieki w gęsty tłum są celniejsze. Od Roosevelta nadjeżdżają czołgi. Zatrzymują się. "Niech żyją żołnierze! Wojsko z ludem!" Chłopcy z kolumny samochodowej porzucili broń, są Polakami i nie będą strzelać do Polaków. Może ci

też? W studium wojskowym szkolą nas, studentów na czołgistów, więc może ja poprowadzę, może dostanę jakieś uzbrojenie? Wołam do oficera wychylonego z wieżyczki : „ Dajcie broń, potrzebna broń! „ Odwraca głowę w moją stronę. Te oczy! Jezu! Już wiem! Podrywa automat i celuje we mnie. Ludzie pierzchają.

Wagon zapełnił się. Nikt mi się nie przygląda. Nie krzychałem. Chwała Bogu. Nie myśleć, nie myśleć, odpoczywać.

To w tym dniu, w dniu moich urodzin, dwudziestego ósmego czerwca sto tysięcy mieszkańców wyszło na ulice. Miałem dokładnie dwadzieścia lat. Wołali: " My chcemy chleba!" Rządziej: „ Wolności! " Broń, amunicja, granaty z rozbitego więzienia i posterunków milicji dostają się w przypadkowe ręce. Walki koncentrują się przy gmachu UB. Tam podobno zamknięto robotniczych delegatów. Żołnierze wysłani dla demonstracji siły dezertują. Zaczyna być groźne. To nie przelewki. Partia zarządza pacyfikację miasta.

Tej lekcji historii, której byłem pilnym uczniem - prowokator i chuligan budujący tramwajowe barykady - nigdy nie zapomnę. Nie przemawiały do mnie transparenty " Chleba dla naszych dzieci!". Wystarczyło jedno słowo - WOLNOŚĆ. To było powstanie przeciwko komunie. Niepodległość gwarantowała chleb. Wynik tej filozofii - jadę berlińską podziemną kolejką do Królewskiej Manufaktury Porcelany i przeżuwam moje życie.

Czy nie mógłbym z okazji urodzin odnotować: „ No, to jeszcze jeden roczek stuknął“, i prześliznąć się po tej dacie? Pech chciał, że Poznań urządził rewolucję właśnie w tym dniu, a ja wyładowywałem w niej swoją młodzieńczą agresję. Dzisiaj wystarczy stadion piłkarski i zadyma. Połknięty bakcyl czekał na sprzyjającą okazję, by zaatakować organizm. Gorączkowałem już w latach siedemdziesiątych, ale choroba dopadła mnie tak naprawdę dopiero dwudziestego czwartego sierpnia osiemdziesiątego roku, wywołując od razu insurekcję wśród marynarzy. Miałem czterdzieści cztery lata (a imię jego czterdzieści i cztery), żonę, dwóch synów, pół wili, któryś z kolei samochód, sprzętaczkę i niezależność finansową zapewniającą spokojną starość. Niestety, najwidoczniej urodziłem się pod złym znakiem zodiaku, a może wina leży w ascendencie. Raki, choć spokojne, zalewa czasami gorąca krew i dają się ponieść nieobliczalnym w skutkach emocjom. By zmienić zaś odziedziczony wzór genetyczny lub choćby go wygładzić, potrzeba nadludzkiej samodyscypliny. Ja jej nie miałem. Mogę usprawiedliwiać się tylko winą przodków.

Byłem jednym z wielu tysięcy stojących na czele powstania. A gra szła o niepodległość. Nie interesował mnie ruch społeczny, strajk chlebowy. Niepodległość to była szansa wyjścia z bagna podwójnego życia, podwójnej moralności. Być nareszcie uczciwym. To był mój czas. Czteryście siedemdziesiąt dni rozpostartych skrzydeł. Szybowałem jak wolny ptak nad czerwonym morzem. Dawałem się unosić prądom nadziei. Ignorowałem groźnie skłębione czarne chmury. Myślałem, że mnie ominą, przejdą bokiem. Nie przeczuwałem jednak zdrady pośród skrzydlatych braci. To ona zakreśliła granicę swobody.

Dzisiaj siedząc w berlińskiej kolejce podziemnej i jadąc do Królewskiej Manufaktury Porcelany przypominałem raczej kurę, która nie nadaje się nawet na rosół.

Ach, te pasma goryczy przewijające się przez wspomnienia...

To był mój czas. Organizacja, wielkie imprezy, wybory, przygotowanie Zjazdu, pasja dyskusji o sformułowaniach statutowych, gorączka pisania artykułów i protestów, namiętność walki wyborczej, podniecająca praca nad przygotowaniem struktur podziemnych na wypadek... Czterysta siedemdziesiąt dni spaczyło ostatecznie mój charakter. Świat postrzegałem w innych barwach. Szarpało nerwy to zderzenie ideałów z codziennym życiem. Z tej sieci do dzisiaj nie udaje mi się wyplątać. Trzynastego grudnia zmierzyłem się z własnym strachem. Przekraczając bramę stoczni, zostawiałem za sobą dawne życie.

Widziałem Śmierć w jaszczurzych oczach czołgisty, łańcuchu upiornych twarzy zomowców otaczających kordonem stocznię, w grymasie odsłaniającym zepsute zęby prokuratora wojskowego, w pokrytej tatuażami i zakrwawionej twarzy kryminalisty czekającego w drzwiach celi, do której przenoszą mnie niespodziewanie o północy, a nawet w dobrotliwym spojrzeniu klawisza, mówiącego: „ Wy chcieliście nas, a teraz my was powyrzynamy, taka jest już kolej losu” w serdeczności ubeka będącego twoim cieniem i aniołem stróżem.

Odmiennosc dzisiejszego dnia, brak książki odmierzającej czas jazdy, sprawiły, że zapadłem w niespokojny sen, z którego trudno się wyrwać. Kiedy otworzyłem oczy, wagon wydawał się być bardziej pusty niż zwykle. Kobieta wysiadła? Nie ma Mężczyzny? Jaka to stacja? Pozostali, nieliczni pasażerowie znikają. Nikt nie wchodzi. Perony bez ludzi.

Czułem się wypoczęty. Bagaż postawiłem na wolnym miejscu. Wygodnie wyciągnąłem nogi. Dopiero teraz zauważyłem mojego sąsiada - Dziwaka. Przyzwyczailem do niego jak do reklam na ścianach, planów tras kolejki, które omiata się wzrokiem i przyjmuje do wiadomości, że są, jak zwykle są.

Siedział obok mnie i czytał pozostawioną przez kogoś gazetę. Było trochę niewygodnie - torby, ja i on na krótkiej ławce. Dotykaliśmy się ramionami. Może się przesaść? W tym momencie wstał i usiadł naprzeciwko. Uśmiechnął się i dotknął rondo kapelusza w geście powitalnym. Odpowiedziałem kiwnięciem ręki. Jak zwykle jego nakrycie głowy wyglądało tak, jakby je zdeptało stado słoni, w mięsistych wargach tkwił nadpalony ogryzek cygara, palto, nadające się tylko na śmieci, sięgało - a to niespodzianka! - do nowiutkich adidasów. Sweter, koszula, a dzisiaj także krawat były w idealnym stanie - widać kupione w drogim sklepie. Kontrast zaskakujący. Mimo że rondo rzucało cień na lekko siwiejący, wielodniowy zarost, to oczy promieniały nie dającą się opisać siłą.

Wysiadł zwykle na stacji Zoo, a ja na następnej. Dlatego byłem spokojny, że nie zasnę, chociaż wyludniony wagon i mijane perony mogły wywołać wrażenie, że pociąg odstawiany jest właśnie na boczny tor. Dziwak chwycił niedopałek cygara między kciuk a palec wskazujący, przyglądał się mu przez chwilę i wyciągając rękę do mnie spytał :

- Pali pan?

Zachnąłem się.

- Nie, dziękuję!

Roześmiał się, zapewne ubawiony grymasem na mojej twarzy.

- Pytam, czy jest pan palaczem. - Nie czekając na odpowiedź mówił dalej:- Uwielbiam cygara do tego stopnia, że jak pan zapewne zauważył, w strefie dla niepalących smakuję je nawet zgaszone. Ach, te niewinne nałogi! A pan pali? - Robił wrażenie sympatycznego i przyjacielskiego. Rozluźniłem się.

- Myślałem, że częstuje mnie pan tym kikutem!

Parsknęliśmy śmiechem. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że rozmawiamy po polsku.

- Czy pan jest Polakiem? - spytałem.

- Mówię wieloma językami - odpowiedział wymijająco. - Należę do całego świata. A pan kim jest?

- To dobre pytanie. Obywatelem polskim i niemieckim. Powiedziałbym, że czuję się Polakiem, ale przynależność do społeczności niemieckiej nakłada na mnie pewne zobowiązania. Czy to takie ważne dzisiaj, kiedy stapiamy się w jedną Europę? - Podaliśmy sobie ręce w geście porozumienia. Nie mam wewnętrznych rozterek czy wyrzutów sumienia. Na granicy pokazuję na zmianę to polski, to niemiecki paszport. W ogóle postrzegam ludzi dzieląc ich na dwie kategorie - dobrych i złych. Inne sprawy mnie nie obchodzą. Mądrość ta, proszę pana, jest prosta, tylko że wszystko, co na tym świecie jest nieskomplikowane, gmatwa żądza władzy, pieniędzy, sławy i seksu. Streściłem w tym zdaniu poglądy paruset filozofów, a reszta jest milczeniem.

Słuchał mnie cierpliwie i z zainteresowaniem. Jeżeli istniała między nami jakaś bariera nieufności, to została usunięta, gdy wyjął z kieszeni dwa duże cygara Davidoff

- Zapalmy. Nikogo nie ma, a gdyby co, to w rękaw.

Zaciągnęliśmy się, wypuszczając kłęby dymu. Poczułem się jak sztubak w szkolnej toalecie.

- Od wielu miesięcy podglądałem pańskie lektury - mówił, trzymając cygaro w ustach - i doszedłem do wniosku, że...

- Zauważyłem to - przerwałem mu - i podejrzewałem, że nie chciał się pan chwalić znajomością języka polskiego.

- No, niezupełnie tak było. Nieważne. Doszedłem do wniosku, że czytane przez pana książki układały się w logiczny ciąg. Od czasu do czasu przerywał pan ten łańcuch sięgając po nowości księgarskie, jak "Europa" Normana Daviesa, którą jak zauważyłem, pochłoniął pan od deski do deski. Spostrzegłem też, że to pana ulubiony autor. Zaliczył pan wszystkie jego książki. Przyznam się, że podzielam pański entuzjazm. To doskonały pisarz i historyk.

Przedział wypełniał się lekką, niebieskawą mgiełką dymu, utrzymującego się na wysokości naszych kolan, i intensywnym zapachem doskonałych cygar. Rozmówca zaskakiwał mnie nie tylko piękną polszczyzną, adidasami, gustownym krawatem do niedbałego ubioru czy drogimi cygarami, ale i odczytaniem. Może już jutro spytam, kim jest. Życzliwy, niekonwencjonalny, więc nie powinien się obrazić. Towarzyszyło mi jednak jakieś nieokreślone uczucie lęku, podobne temu, gdy budziłem się z przeraźliwym krzykiem z

koszmaru sennego - spadałem w przepaść albo pogrążałem się we wsysającym mnie piasku walcząc rozpaczliwie o życie. I nie mogąc się uspokoić, odmawiałem zdrowaśki.

Rozważałem to wszystko pewny, że śpię w pociągu w drodze do pracy, a więc zastanawiałem się we śnie, czy nie śnię! Trochę to zagmatwane. W jakiś czas po śmierci mojego przyjaciela Stasia, kapitana Żeglugi Wielkiej, spotkałem go ponownie na statku, na którym razem pływaliśmy, w jego kabinie, pośród pustych butelek, rozbawionych i głośnych biesiadników. Siedział w rozpiętej koszuli z podwiniętymi rękawami i nieodłącznym papierosem w ustach

- Stasiu - zawołałem - przecież ty nie żyjesz !

A on śmiejąc się powiedział: - Kto ci takich bzdur naopowiadał? Patrz, siedzę tutaj i popijam. Jak nie wierzysz, uszczypnij mnie.

Zrobiłem to. Czuję żywe ciało!

- Ty żyjesz! i w tym momencie obudziłem się.

Wielokrotnie przeżywałem podobne nocne sensacje, więc i tym razem moja podświadomość, a może jakieś jej warstwy, kto to wie, reagowała podobnie. Skądś tam nieśmiało przebijał się sygnał ostrzeżenia, na tyle jednak słaby, że nie uciekałem z tego snu o pustym wagonie i peronach. Z pociągu mknącego w niewiadomym kierunku, w nieobecny czas, podróży bez celu.

- Zamilkł pan, pewnie rozleniwiony boskim smakiem cygara. Wracając do przerwanej wątku: zauważyłem, że kocha pan historię. Zwłaszcza czasy okupacji sowieckiej w Polsce. Poznałem po tytułach.

- Powiedział pan: czasy okupacji sowieckiej. Jestem zaskoczony. W moim kraju niechętnie używa się takiego określenia, a tutaj tym bardziej. Chylę czoło. Okupacja sowiecka. Właśnie tak. Niezależnie od sympatii dla Wielkiego Zachodu, dodać należy, za jego podstępny przyzwoleniem. Zagłoba i Niderlandy. Trudno bronić swoich racji, gdy społeczeństwo, ogłupiane przez post czerwoną prasę i telewizję, już w niepodległej Polsce, tęskni do utraconego rajy socjalizmu. Rzygać się chce.

- A jednak z uporem przekopuje pan tę przeszłość, powiedziałbym, aż do bólu.

- Bo ona jest bolesna aż do krzyku, do łez! Pan mnie sprowokował... nie, nie pan, to ten urodzinowy dzień, który kończy się zwykle upiciem na smutno.

- Domyśliłem się, gdy pan wsiadał objuczony torbami, że to zapakowane przyjęcie, ale dlaczego musi kończyć się ponuro?

- W tym dniu wdepnąłem w rewolucję i do dzisiaj tkwię w niej po uszy. Ale to dłuższe opowiadanie, na dalsze dni naszych podróży.

- Odnoszę wrażenie, że czuje się pan winny za przeszłość i stara się ustalić stopień swojej moralnej odpowiedzialności, jakby pan nosił na sobie wszystkie grzechy świata. Jeżeli wolno mi coś poradzić ... uwaga ! Nie dźwigać ciężarów w tym wieku!

- Dziesięć lat temu wszystko było bardzo proste : z jednej strony my, "uciskane ludy" i "wolne narody", z drugiej komunizm. Gdy minął euforyczny nastrój, po rozebraniu muru berlińskiego, okazało się, że chętnie byśmy go ponownie postavili. Jedna strona po to, by tkwić w błogiej stabilizacji dobrobytu, druga tęskniąc do spokojnej wegetacji niewolnika. Niezłe zarabiam jako robotnik akordowy. Mógłbym nie przejmować się krajem i nie stwarzać sobie takich dodatkowych kłopotów. Życ jak przeciętny zjadacz chleba, odciąć się od przeszłości, jak uczyniło to wielu moich przyjaciół. Zazdroszczę im. Nie wyleczyłem się ze wstrętu do komunizmu, tym bardziej teraz, gdy czytam o jego zbrodniach. Niewiele wydostano z przepastnych archiwów KGB, a już wystarczy, by krzyczeć z przerażenia. Świat jednak milczy, jakby czuł się współwinny. A pewnie i dlatego, że ten zbrodniczy ustrój ma się całkiem dobrze w Chinach, na Kubie, w Korei. Zauważył pan, że w domach towarowych można kupić ręcznie robione, prześliczne chińskie drobiazgi dosłownie za grosze. Bo taka jest cena życia w obozach koncentracyjnych! Tak, tak, najlepiej postawić koło siebie kilka puszek z piwem, słone paluszki, położyć nogi na stoliku i patrzeć na migające w telewizorze kolorowe obrazki, nie zapominając o zaspokojeniu podstawowych potrzeb: wydalania i seksu. Królestwo za konia! Sumienie za spokój!

- No, no, więcej pogody ducha! Domyślam się, że w pana torbach nie brakuje lekarstwa na nerwy. Chętnie się napiję.

- Nie mam niestety kieliszków

- Nie szkodzi. Pod palec.

Roześmiałem się serdecznie.

- Pod palec? To zwyczaj wozaków. Wypróbowałem go nieraz. Otworzyłem torbę i wyciągnąłem Siwuchę. - To doskonała wódka. O, jeszcze zimna. Dobrze ją zmroziłem.

Odkorkowałem i podałem mu. Przyglądał się chwilę etykietce, przyłożył do niej kciuk.

- Ku pokrzepieniu serc! - i wypił. Nie otrząsając się włożył cygaro do ust i podał mi butelkę. Pociągnąłem spory łyk. Ciepło rozchodzące się po ciele usunęło napięcie i zdenerwowanie. Wetknąłem korek i schowałem flaszkę.

- Proszę nie zasuwac zamka, na wszelki wypadek - zachichotał. - No, to ma pan problemy. Nie zbawi pan świata, bo ma pan ku temu małe szanse, ale tu jeden kamyczek, tam drugi i zbierze się z tego potężna lawina. Należy dochować wierności samemu sobie.

- To bardzo trudne. Tak, dochować wierności sobie, swoim ideałom, spojrzeniu na świat. Najprościej było wierzyć, że co złe, to komuchy. Wydawało się, że gdy nadszedł dzień wyzwolenia, zostaną starci na popiół i nigdy nie zmartwychwstaną. Wie pan, co powiedziałem moim kolegom w areszcie Służby Bezpieczeństwa po tym, jak zgarnęli nas ze Stoczni? „Jesteście bohaterami, historia na was patrzy, nie przynieście jej wstydu.” Świadomy osobistego zagrożenia, przypuszczając, że nas rozwałą, jak to robili po wojnie, bez ceregieli strzelając w potylicę, myślałem tylko o honorze! Bóg, Honor, Ojczyzna. Tak mnie wychowano i tak się sam kształtowałem. Byłem dumny, że siedzę za kratami. A potem... Rozdzwoniły się dzwony jak Polska długa i szeroka. Witają wolność, a tutaj, na moich

oczach, pęka mur. Wiedziałem, jaka ma być ta Niepodległa. Miałem sporo czasu na marzenia. Czy ja pana nie zanudzam naszymi odległymi problemami? Ach, ten dzień...

- Ależ nie, rozumiem, o czym pan mówi, chętnie słucham.

- Pożegnałem się z marzeniami. Nie ja pierwszy i nie ostatni. Jak pokolenie wojenne. Wiara w odzyskanie niepodległości i wychowanie patriotyczne pomogły im przetrwać okropności tamtych lat. Moje rozczarowanie, moje dąsy to pestka w porównaniu z tym, co ich spotkało. Oskarżenie o współpracę z Niemcami, mordy, sądy kapturowe, więzienia, zsyłki, poniżenie, życie w nędzy i żadnej nadziei na przerwanie tego pasma nikczemności. I co?! Oprawcom żyje się dzisiaj doskonale, a powinni stanąć pod pręgierzem! Przepraszam pana, że się tak podniecam. Hitlerizm osądzono w Norymberdze. W którym mieście zapadnie wyrok na komunizm? Czy już nie za późno? Hydrze odrastają głowy. Tej polskiej powodzi się znakomicie. Głupota, ubóstwo intelektualne elity politycznej zrodzonej z ruchu niepodległościowego o nazwie "Solidarność" przyczyniło się do pustki ideowej i moralnej społeczeństwa, co sprytnie rozgrywają postkomuniści, prowadząc do rozprężenia. Im ono większe, tym łatwiej grać na prymitywnych odczuciach, robić brudne interesy, rządzić. Wie pan, takich jak ja nazywa się dinozaurami. Stanowimy relikwiarz bardzo odległej przeszłości. Wyglądam śmiesznie z tym moim balastem przedpotopowego wychowania, myślenia, tradycji i tożsamości narodowej. Dzisiaj trudne wybory moralne odsuwa się na margines, starając się o nich zapomnieć, bo cisną jak niewygodne buty. Nic nie łączy ludzi, nawet w obrębie rodziny. Kto ma nas ma pouczać o wartościach moralnych? Ci, co dotychczas oszukiwali? Ci, którzy tego nie dostrzegają? Na kim się oprzeć? Komu zaufać? Kościołowi? Jesteśmy narodem wierzącym, ale oddajemy się tylko rytuałom, nie przyjmując nauk!

Przerwałem. Serce podchodziło mi do gardła, w ustach zaschło. Mój słuchacz rozparty wygodnie wpatrywał się w sufit, przesłonięty gęstą mgłą dymu.

- Bardzo pan przeżywa swoje niepowodzenia. Za wysoko ustawił pan poprzeczkę i skok się nie udał, ale przynajmniej pan próbował. Inni wolą pozostać biernymi widzami. Widzę, że cygaro zgasło. - Sięgnął po zapalki. - Pańscy koledzy nie doznają, jak mniemam, uszczerbku, jeśli sięgnie pan znowu do torby. Ale to już ostatni raz, bo zbliżamy się do celu podróży.

Wypiliśmy. Schowałem butelkę i tym razem zaciągnąłem suwak. Mimo odprężenia powrócił ten mój dziwny lęk, ta słaba próba przebudzenia się, powrotu do życia ze śmiertelnego snu. Po chwili zniknął. Towarzysz podróży usiadł wygodniej.

- To smutne opowiadanie jak na dzień urodzin. Mam jednak pewność, że zmartwienia ustąpią i uwierzy pan w siebie.

- Oby tak się stało. Amen. Jeszcze chwilę pana ponudzę. To już finał moich zwierzeń. Kilka lat temu sprzedawałem moje wspomnienia na kiermaszu książki. Na okładce mocno wydrukowano słowo "Solidarność". Spotkałem się tam z zaskakującą agresją. Obrzucono mnie niewybrednymi epitetami, grożono, a jakaś zaciętrzewiona kobieta wrzeszczała do mnie: "To wy jesteście winni naszej nędzy, ty chamie solidarnościowy!" - i uderzyła mnie torebką w twarz. Wie pan co? Do tego momentu myślałem, że jestem wpisany na listę zasłużonych i czekałem na order. To była lekcja pokory. Przypomniałem sobie, że rewolucje pożerają własne dzieci. Ja byłem takim dzieckiem. Posłusznie przyjąłem wyrok boski.

- O, tutaj muszę ostro zaprotestować! - Towarzysz podróży wyjął cygaro z ust. - Proszę nie mieszać do tego Boga.

Głos był stanowczy, może za ostry? Chyba się przesłyszałem. Patrzył na mnie łagodnymi oczami, uśmiechał się... Nie, skądże. Może to duchowny? Często nadużywamy imienia Pana i dlatego się wkurzył. Muszę uważać.

- Nie, nie jestem księdzem.

Jezus, Maria, czyta moje myśli! Poczułem, że splywa na mnie trudny do określenia spokój. Siedziałem w wagonie kolejki podziemnej i rozmawiałem z podróżnym, którego z widzenia znałem od kilku lat. Obok mnie stały dwie torby. Paliliśmy cygara, było miło. Wszystko traciło jakiegokolwiek znaczenie - urodziny, cel mojej podróży. Przed oczami przesuwały się obrazy z przeszłości. Jeszcze raz powtarzałem moje życie dzień po dniu, sekunda po sekundzie, a jednak czas nie istniał. Kolorowe obrazy czasami traciły barwę, jakbym oglądał czarno-białe negatywy. Miałem wtedy poczucie winy i słyszałem, jakby gdzieś poza mną, własny szept: „Boże, bądź miłościwy mnie grzesznemu.“ I nagle zrozumiałem, że spowiadam się z tych szarych scen życia.

A jednak rejestrowałem stukot kół, szum pędzącego przez tunele pociągu. Potwierdzało to, że żyję, że tylko śnię, że zaraz się obudzę, wysiądę na Hansaplatz i z kolegami skorzystam z zawartości moich toreb.

- Tak, czytam myśli. Należy to do moich, powiedzmy, obowiązków służbowych. Muszę przyznać, że pański upór trwania przy życiu budzi uznanie. Powinien pan już osiągnąć stan doskonałości, a jednak jest pan niepoprawny. O, teraz czuję, że poddaje się pan mojej mocy. Proszę mi wierzyć, to naprawdę lepiej. Niedługo dojedziemy do ostatniej stacji. Pozwoli pan, że się przedstawię: jestem ŚMIERĆ Miło mi. Inaczej sobie pana wyobrażałem.

- Kościotrup w łachmanach, z kosą, nieprawdaż?

- Tak to się jakoś przyjęło w sztuce. Jeżeli pan nie żartuje, to jestem mile rozczarowany. A te cygara? A pociąganie z butelki?

- Ach, każdy ma swoje słabości. Jestem odbiciem wyobraźni tych, których odwiedzam. Nawet płód w łonie matki ma te zdolności. Dlatego postrzega mnie pan jako sympatycznego, nie dbającego o ubiór, roztargnionego profesora, z niedopałkiem cygara w ustach. Przez trzy lata prawie codziennie spotykam pana w tej kolejce. A przecież każdego dnia umierają dziesiątki tysięcy ludzi! Czy jest was więcej? Czy każdemu towarzyszy jego własna śmierć?

- Zrozumie pan, jak wysiądziemy. Teraz jeszcze nie jest pan w stanie pojąć, że Śmierć jest jedna. To ja jestem przy wszystkich, którzy umierają i przebywam z nimi. Wykonuję wolę Stwórcy i z Jego nakazania wskazuję drogę do Innego Życia. Jestem Końcem i Początkiem. Jestem Wszechobecny. Znam przysze drgnienia pana powiek, ruch ręki, wypowiedziane słowo, myśl. Znam przeszłość i przyszłość każdego człowieka, każdego zwierzęcia i rośliny, wszystkiego, co na tej ziemi się znajduje. Najmniejszego ziarenka piasku. Jestem w waszym ziemskim pojęciu zwiastunem wiecznego szczęścia. Każdy ma zapisany swój kres życia. W odpowiednim momencie zjawiam się ja. Nic nie jest przypadkiem czy chaosem. To wynik Myśli. Oburzyłem się, gdy pan mówił o wyroku

boskim. On się do was nie miesza! Sami wyrokujecie. Ta Ziemia jest waszą szansą powrotu do Niego. Jak tę możliwość wykorzystacie, zależy tylko od was. Dał wam wolną wolę! Ale nie bardzo się wam udaje. Jakże jesteście śmieszni i żalosi oglądani z innego wymiaru. Poprawiacie to, co jest idealnie harmonijne. Nawet stworzyliście moją rywalkę na własne potrzeby! Waszą Śmierć! Kostuchę! Wydajecie jej rozkazy. Hula po świecie bez opamiętania, wywijając kosą, nie mogąc podolać zamówieniom. Ja podążam za nią i ofiary jej mordy prowadzę do Niego. Gdy się spotykamy, patrzy na mnie wyzywająco, pewna swojej bezkarności i niczemności. Nie wie, że mógłbym ją unicestwić, ale Najwyższy czeka, aż wy to zrobicie! Teraz to ja się rozgadałem. Mamy jeszcze trochę czasu, więc dokończmy nasze cygara.

Paliliśmy w milczeniu. Chciałem zapytać: dlaczego właśnie ja? dzisiaj? Nie miałem specjalnie ochoty umierać. Wiedziałem jednak, że to banalne pytanie zadają wszyscy, a poza tym jakoś przestały mnie interesować ziemskie sprawy. Byłem bardzo ciekawy Nowego.

- Proponuję - odezwał się - zostawić wiadomość policji, co zrobić z tym bagażem. Szkoda, by takie frykasy wyrzucono do śmietnika. O, proszę, ma pan tu kartkę i długopis. Może tak: "Do wiadomości policji. Proszę natychmiast dostarczyć obie torby do Królewskiej Manufaktury Porcelany, wydział wyrobu masy. Tam już czekają niecierpliwie na urodzinowe przyjęcie". Dobrze. Kartkę włożyć do środka. Przy sprawdzaniu bagażu rzuci się w oczy. Doskonale. Proszę nie chować długopisu do kieszeni. Dziękuję. To odruch warunkowy. Mnie się to też przydarza.

Cygara się dopalały, czyżby miało to oznaczać kres naszej podróży? Czyżby to był ostatni kontakt ze światem żyjących? Byłem tak przejęty tym, dokąd wiedzie mnie Śmierć, że zostawiałem rodzinę, przyjaciół, zbiory obrazów, mieszkanie, samochód bez najmniejszego żalu, a właściwie zapomniałem o nich, o wszystkim, co ziemskie. Moje "ja" było JESTEM.

Pociąg zwalniał.

Śmierć wstał. Schował niedopałek do kieszeni. Poprawił kapelusz, przyklepał naderwane kieszenie.

- Na nas już czas. Przybyliśmy do celu.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie.

- Proszę za mną. Odważnie.

Zobaczyłem na zewnątrz bezmiar świetlistej jasności i poczułem, jak wypełnia mnie cudowny spokój i radość. Przekraczałem próg wagonu, gdy Śmierć odwrócił się do mnie. Zauważyłem zakłopotanie na jego twarzy.

- Proszę chwilę poczekać, zaraz wrócę.

Trwało to sekundy, ziemskiego czasu oczywiście.

- Bardzo mi przykro, zaszła pomyłka. Musi pan zostać na Ziemi. - Ujął mnie za rękę i zaprowadził na miejsce.

Ktoś potrząsał moim ramieniem. Otworzyłem oczy. Przy mnie stał Dziwak.

Przepraszam, że budzę. Spał pan bardzo twardo, chrapał. Obawiałem się, że pan zaśpi. Ja już wysiadam.

Rozespany nie zdążyłem podziękować. Razem z tłumem pasażerów opuścił wagon, jednak na peronie odwrócił się do mnie i szeroko się uśmiechając pomachał ręką. Nie miałem czasu na przemyślenie niesamowitego snu, bo pociąg za chwilę wjeżdżał na stację Hansaplatz.

Jak co roku koledzy podzielili się moją pracą. Mogłem spokojnie przygotować urodzinowe przyjęcie. Posprzątałem pomieszczenie, gdzie jadałliśmy posiłki. Stół nakryłem kolorowym papierowym obrusem.

Otworzyłem torbę. Na wierzchu leżało drogie cygaro i kartka: "Do wiadomości policji. Proszę natychmiast dostarczyć obie torby do Królewskiej Manufaktury Porcelany, wydział wyrobu masy."

V i l l a n y i u t. 54

Nie muszę się tłumaczyć, dlaczego kupiłem dom letniskowy pod Budapesztem. Dziewięćset kilometrów od Berlina. Dokładnie. Kocham Węgry. Być może wiele jest na świecie miejsc bardziej malowniczych, ale właśnie ze stoku winnicy, opadającej dosyć stromo w kierunku Budaoers, rozciąga się fascynująca mnie panorama miasta. No dobrze, w dzień - nie upieram się - traci na swoim uroku, ale gdy zapadnie wieczór...

W podłużnym rondlu kotliny, wypełnionym po samą krawędź wapiennych skał kolorowymi bryłami domów, poprzecinanym zielenią sadów, nitkami torów kolejowych i autostrady, w południe zamglonym kurzem, gazami i odbitymi refleksami słońca, nikt, mimo najśmielszej fantazji, nie dopatrzyłby się nurkujących gwiazd i płynącego księżycyca w granatowej gładzi jeziora. A jednak!

Uwerturą do tego obrazu, zapowiedzią podniesienia kurtyny jest szybko kroczący zmierzch, obejmujący szarością przestrzeń i mnie, powodujący przykre odczucie zagubienia, niepokoju; a także nieśmiałe przygrywki cykad, jakby muzycy dostrajali instrumenty przed koncertem. I nagle - co nie może być już niespodzianką, bo powtarza się niezmiennie, ale za każdym razem jest dla mnie zaskoczeniem - mam uczucie, że unoszę się w środku

ciemnoniebieskiej kuli nad głębią tajemniczego rozlewiska, w trój wymiarze światła i kwadrofonii koncentrujących piewików.

Spokojna, majestatyczna, nieprzenikniona dal nieboskłonu nagle zwielokrotnia się fajerwerkiem latarni ulicznych, rozświetlonych okien, wstęgą reflektorów samochodowych na autostradzie i iluminacją wieży kościoła w Budaörs. Tak, chętnie tutaj przyjeżdżam, by podziwiać z tarasu wieczorną panoramę Budapesztu, za każdym razem w innych barwach.

Leżąc z rękami pod głową, patrzyłem na czysty błękit nieba. Rozleniwiony gorącymi wodami kąpieliska Szechenyi, paroma kieliszkami chłodnego badacsonyi i filiżanką czarnej kawy, osiągnąłem stan doskonałego zadowolenia, równego - jak mi się zdawało - nirwanie. Słyszałem jednostajny warkot kosiarki, szum autostrady, od czasu do czasu rytmiczne staccato przejeżdżającego pociągu, odległe rozmowy sąsiadów. Nie wyłapywałem słów, tym bardziej, że znałem węgierski słabo. Być może rejestrowałem to wszystko w podświadomości, wyobrażając sobie, że nie śpię, że obserwuję wysoki lot jaskółek.

Słońce powędrowało już na zachodnią stronę winnic, gdy otworzyłem oczy. Jednak musiałem zapaść w senny letarg. Gwałtownie poruszyłem się na leżaku. Koło drewnianej balustrady otaczającej taras siedział starszy, siwy pan w szarym garniturze w jasne paseczki. Uśmiechnął się do mnie uspakajająco, widząc moje zaskoczenie. Twarz wydawała mi się znajoma. Szukałem gorączkowo w pamięci. Podszedł bliżej i podał mi rękę.

- Imre Nagy.

Patrzyłem na niego widocznie z niezbyt mądrym wyrazem twarzy, bo roześmiał się i powtórzył

- Ależ tak, Imre Nagy. Nie chciałem pana budzić i przycupnąłem na krześle. Podziwiałem mój Budapeszt.

- Pan przecież nie żyje! To chyba sen, tak, to sen. Boże, proszę mi wybaczyć, duchy się nie materializują, a przecież czułem uścisk pańskiej dłoni, stoi pan przy mnie jak żywy. O, przepraszam jestem w kąpielówkach, zaraz się przebiorę. Co ja plotę! Czy naprawdę jest pan tutaj, na tarasie przy ulicy Villanyi ut. 54. Dlaczego właśnie mnie pan odwiedził? Mówi pan po węgiersku, a ja doskonale rozumiem! A, może kieliszek wina? Odpowiedź miała rozstrzygające znaczenie: duchy przecież nie piją!

- Z przyjemnością. Chłodnego horslevely.

Było jeszcze jedno wytłumaczenie - postradałem zmysły. Pot ciekł mi po czole, i po plecach. To nie z powodu upału, nigdy się w tym suchym klimacie nie pocilem, ale ze strachu. Ręce mi drżały, gdy stawiałem kieliszki. Nie byłem w stanie wyciągnąć korka.

- Pan pozwoli - powiedział Imre Nagy i wziął ode mnie butelkę.

Piliśmy w milczeniu.

- No dobrze, ale jak mogę sobie wytłumaczyć pańską obecność - zadałem rozpaczliwe pytanie.

- Proszę być cierpliwym i wierzyć. Odwiedzi pana jeszcze kilka osób, są w drodze. Może parę krzeseł, jakiś stolik dodatkowy? Pomogę. Wiem, że w piwniczce jest odpowiedni zapas win.

Gdy się przebierałem, Imre prznosił foteliki z ogrodu.

- Proponuję wynieść z pokoju stół, nie będzie padać, ale musi mi pan pomóc. I... proszę się uspokoić, przed nami wiele niespodzianek - mówił ciepło jak sympatyczny wujek. - Proszę wyjąć z szafy haftowany obrus węgierski, jest przepiękny.

Jezus Maria! Skąd on wie?! A może ja umarłem i znalazłem się w innym świecie? Cokolwiek się wydarzy, jeszcze dziwniejszego i niewytłumaczalnego, będę trzymał nerwy na wodzy. Musi być jakieś rozwiązanie. Niech się dzieje wola Nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba.

Imre Nagy poklepał mnie po ramieniu. Wiedział, co myślałem!

Usłyszałem zgrzyt otwieranej furtki - trzeba naoliwić zawiasy, odnotowałem w myślach. I wtedy na szczycie schodów zobaczyłem... Marszałka! Nie, nie mogłem się mylić, to był Józef Piłsudski!

Biegłem jak szalony w górę wołając:

- Panie Marszałku, proszę poczekać, pomogę panu!

- To sympatyczne z pana strony, ale dam sobie radę. - Trzymając się lewą ręką poręczy i podpierając się laską, schodził powoli. Przypomniałem sobie jak wyglądał przed śmiercią na fotografiach. Szczupła, poorana zmarszczkami twarz, obwisły, siwiejący wąs, krzaczaste brwi, nad przenikliwymi oczami, w których odbijało się cierpienie wywołane chorobą. Lekko pochylony do przodu, miał na sobie mundur marszałkowski, ale bez żadnych ozdób i odznaczeń, a na głowie – słynną maciejówkę. Brakowało tylko szabli.

- Ha, ładnie tu, piękny widok. O, jest i Imre... doskonale, doskonale.

- Proszę usiąść, panie Marszałku. Podać coś do picia? - Ugryzłem się w język, ale usłyszałem odpowiedź

- Chętnie, kieliszeczek tokaj assu.

Wyjmując z kredensu flaszkę szeptałem do siebie:

- Tylko spokojnie, to nic niezwykłego, to przejdzie, zaraz się obudzę. Ale jest fantastycznie.

Gdy wróciłem, na tarasie zastałem dalsze osoby. Rozpoznałem księdza Jerzego Popiełuszkę, drugi nie był mi znany. Odwrócili się do mnie.

- Jestem Rowecki, Stefan. Wiem, że pan wiele o mnie czytał. Pozwoliłem sobie pana odwiedzić.- Podał mi rękę.

Ksiądz Jerzy wziął mnie w ramiona. Czulem ciepło jego policzka, bicie serca, a jednocześnie przepływ nieokreślonej energii, spokoju, dobra.

- Czekamy jeszcze na mojego przyjaciela Pala Maletera, powinien już tu być - powiedział Nagy i popatrzył ku schodom.

Pal był dowódcą koszar Kiliana w Budapeszcie, a w listopadzie pięćdziesiątego szóstego roku ministrem obrony narodowej w rządzie Nagya. Walczył przeciwko bolszewikom. Zamordowano go po upadku Powstania.

Idąc do kuchni po kieliszki, rozważałem, czy podać coś do przegryzienia. Pytanie było absurdalne, ale i sytuacja nieprawdopodobna. Goście byli zajęci ożywioną rozmową, gdy na stole stawałem półmisek z pogaczo, solone migdały, gęsie teperci (skwarki), brzoskwinie, morele. Napełniając kieliszki złocistym muszkatelem, spojrzałem na księdza Jerzego, ale skinął przyzwalająco głową.

Nadszedł oczekiwany Pal - w sile wieku, wysoki, przystojny, o ciemnych falujących włosach, bystrych oczach. Przywitał się ze mną i usiadł przy Roweckim.

Rozumiałem, że odwiedziny tak dostojnych postaci - wydaje się to najlepszym określeniem osób, które są albo wytworem snu, sił tajemnych, albo po prostu są!, czego nie można wytłumaczyć racjonalnym umysłem (jeżeli takowy w ogóle istnieje) - nie były przypadkowe, że przyszli z określonym zamiarem.

W każdym razie było cudownie i uroczyście. Dzień chylił się ku końcowi. Upał zelżał, a dymy z palących się ognisk snuły się leniwie po ogrodach, nie tknięte najłżejszym podmuchem wiatru. Tu i ówdzie cykady dostrajały swoje instrumenty. Usiadłem z lewej strony, bokiem do zachwycającej mnie zawsze panoramy Budapesztu, widząc zarazem doskonale moich gości, siedzących półkolem.

Marszałek, jakby ze względu na wiek, urząd i zasługi, królował na środku, wygodnie rozparty w fotelu i bawił rozmową siedzącego po jego prawej ręce księdza Jerzego, który - teraz dopiero to dostrzegłem - był ubrany w lekki, jasny lniany garnitur, i tylko koloratka pod granatowym kołnierzykiem koszuli wskazywała, że jest kapłanem. Imre Nagy zamykał prawą stronę.

Po lewej, obok Piłsudskiego, siedział jeden z najwybitniejszych polityków i wojskowych, Stefan Rowecki. Ku mojemu zaskoczeniu przypominał raczej wędrującego pieszo turystę. Marynarka z samodziału w jodelkę, pumpy, wełniane skarpety i buty na grubej podeszwie. A jednak pewna sztywność ruchów czy może sposób siedzenia zdradzały żołnierza. Twarz blada, rzadniejące, gładko zaczesane włosy.

Między nami siedział postawny, opalony, ubrany na sportowo Pal. Z apetytem jadł bogaczo, często sięgając po kieliszek.

Marszałek przerwał rozmowę z księdzem Jerzym i powiedział :

- Wydaje się, że nadszedł czas, by wyjaśnić naszemu miłemu gospodarzowi cel odwiedzin. Nim jednak to nastąpi, musimy od pana odebrać przysięgę, że zachowa pan wszystko w tajemnicy. Absolutnej tajemnicy. Zaznaczam, że konsekwencje jej ujawnienia mogą być przerażające. Czy pan dotrzyma przyrzeczenia?

Cokolwiek miałyby się wydarzyć, ciekawość była tak silna, że byłem gotowy na wszystko. Skinąłem głową.

Wstali i ksiądz Popieuszko zapytał:

- Przysięgasz na Krzyż Chrystusowy?

- Przysięgam.

(Pozostawiam tu wolne, nie zapisane miejsce, bo zostałem zobligowany do zachowania tajemnicy.)

Nie tylko ja, ale i moi goście byli oczarowani niezwykłością wieczornej panoramy Budapesztu. Nagy i Pal podeszli do balustrady, jakby chcieli przybliżyć się do miasta, które kochali. Wzruszenie malowało się na ich twarzach. Marszałek z rękami opartymi o poręczę fotela, niczym Stańczyk z obrazu Matejki, miał przymknięte oczy. On jeden z obecnych tutaj zmarł śmiercią naturalną. Pozostałych zamordowano. Księdza Jerzego Popiełuszkę dopadła Służba Bezpieczeństwa wykonująca polecenie Komitetu Centralnego, Stefan Rowecki zginął po okrutnych torturach z rozkazu Himmlera, a Nagy i Maletera zabiło NKWD, na polecenie Chruszczowa.

Przypomina mi pan mojego wuja - zwróciłem się do Stefana Roweckiego. Jeszcze w latach pięćdziesiątych chodził w pumpach i tweedowej marynarce. Przypuszczam, że to kwestia przyzwyczajenia, ponieważ był inżynierem geodetą, a potem wykładowcą na Politechnice.

- A może także mody - roześmiał się Rowecki. - Chociaż nie myślało się o niej w czasie okupacji.

Nagy i Pal przysiedli się do stołu. Ksiądz Jerzy przerwał czytanie brewiarza, który wcześniej wyjął z kieszeni. Wiem, że znali moje myśli. Nie musiałem nawet się odzywać. Jednak umownością tego spotkania była r z e c z y w i s t o ś ć .

- Pozwólcie, że zapytam: ginęliście świadomie, byliście gotowi na śmierć. Dlaczego? Pana, Marszałku, powołał Najwyższy. Niejednokrotnie ryzykował pan życiem jako żołnierz na wojnie, w pewnym sensie od pana zależał wybór, ale nigdy tak skrajny. W Roku Pańskim dziewięćdziesiątym siódmym nikt tego nie rozumie. Powszechne samolubstwo i ślepe bogacenie się sprzyjają teoriom przetrwania za wszelką cenę. Niewolnicze czasy wspomina się z łezką w oku, zapominając o sponiewieranej godności. Ale się przeżyło! Zginęło paru szaleńców. Gdyby posłuchali ojców "bezkrwawej rewolucji", to zapewne dzisiaj cieszyliby się doskonałym zdrowiem. Może ksiądz Jerzy byłby biskupem?

- Hola, hola, młody człowieku! - przerwał mi Popiełuszko. - Gorycz przemawia przez ciebie. Wiele można przytoczyć przykładów społecznego poświęcenia, miłosierdzia, bezinteresownej pomocy. Ludzie są zagubieni, oglupieni czterdziestoletnią indoktrynacją. Nie wiedzą, gdzie przebiega granica między dobrem a złem. Na wszelki wypadek zapalają diabłu ogarek. Wiele pokoleń wychowało się łącząc wodę z ogniem - komunizm z wiarą w Boga. Ja byłem przy nich, chciałem im pomóc odnaleźć siebie, przekazać im prawdę, przybliżyć do Niego, który jest Dobrem. Staralem się także im przypomnieć, że wolni możemy być tylko w niepodległej Ojczyźnie.

Marszałek chciał wstać, ale opadł na fotel. Wyprostował się, jakby odmłodził, jego głos brzmiał dobitnie, gdy z całym szacunkiem zwrócił się do Księdza Jerzego:

- Wynoszą cię na ołtarze (zauważyłem, że moi goście zwracają się do siebie per ty), boś zasłużył. Głosiłeś chwałę Ojczyzny i Boga w kraju, gdzie lud był chrześcijański, a rządy bolszewickie. Wielu ginęło, siedziało w więzieniach, zostało zaszczutych, bo sprzeciwiali się czerwonemu złu, ale ty nie czułeś do oprawców nienawiści, obejmowałeś ich tym samym ramieniem, co słuchających ciebie wiernych. Chciałeś przybliżyć ich do Pana Naszego i prowadzić drogą Dobra. To wytrąciło ich z równowagi, to ich rozwścieczyło, bo nie mogli tego pojąć i znieść. Mordując ciebie, przyspieszyli swój koniec.

- Taka była wola Najwyższego - cicho powiedział Popiełuszko i schylił głowę.

- No dobrze - odezwałem się. - Ksiądz jednak o tym nie wiedział i zdecydował się... mimo ostrzeżeń esbeka, mimo błagań najbliższych... wyruszyć w drogę bez powrotu. Ksiądz przeczuwał śmierć, a jednak wybrał się w podróż.

- Bo tak pojmowałem uczciwość wobec siebie, wobec innych. Gdybym ukrył się, uznano by to za roztropność, ale ja nie mogłem. Nie było to takie proste, bo się bałem!

- Miły gospodarzu - popatrzył na mnie Imre Nagy – zdumiewasz mnie. Łamiesz swoje zasady: nie cierpisz komunistów, nie wierzysz tak zwanym przefarbowanym, jak określasz nawróconych na demokrację. Chętnie byś wysłał wszystkich na stos. A teraz siedzisz przy stole ze mną i Palem. Co ty na to?

- Nigdy nie zapomnę pańskiego wołania przez radio o pomoc, o ratunek dla Węgier, o ochronę dziesiątek tysięcy ludzi przed wymordowaniem. sądu Przeżyłem Powstanie Warszawskie jako dziecko i doskonale je zapamiętałem. To dla mnie święte wspomnienie. Budapeszteński zryw przeciw Rosji jest dla mnie równie godny czci. Dał pan świadectwo prawdzie, poświęcając swoje życie. Pal także. To wiemy dzisiaj, bo zachował się filmowy zapis kapturowego. Wtedy mówiono, że was zamordowano, jak wielu innych. Zwyczajnie zamordowano. Straszne.

Pal machnął ręką, jakby opędzał się od moich pełnych podziwu słów, i wskazał na Roweckiego.

- Doskonale są znane okoliczności mojej śmierci, śmierci Imre, Jerzego. O Stefanie milczą przekazy, są tylko domniemania. Ale my wiemy. To przypadek, że na ulicy spotkał go Judasz - Eugeniusz Świerczewski i wydał Niemcom, ale w tym czasie Rowecki był dla wielu kolcem w oku. Niewygodny dla aliantów i polskiego rządu w Londynie, bo przeszkadzał

Rosjanom. Przeszedł katorgę więzień, poddawany był straszliwym torturom i zginął bezimiennie rozstrzelany. Zasluguje na wieczny szacunek waszego narodu.

Marszałek objął Roweckiego ramieniem.

- To mój najzdolniejszy uczeń, i gdyby nie wola Niebieskiego, losy Ojczyzny może by się potoczyły inaczej.

- Umierał pan - zwróciłem się do Stefana Roweckiego - w zupełnym odosobnieniu, nikt nie wie, gdzie został pan pochowany, ani co wydarzyło się przez ostatnie dwa lata pańskiego życia. To dowód, że pan świadomie wybrał drogę, u której kresu czekała śmierć. Czy mógłby pan uchylić rąbka tajemnicy?

- Po aresztowaniu przewieziono mnie samolotem do Berlina. Byłem cennym więźniem. Obawiano się, i słusznie, że podziemie mnie odbije. Traktowano mnie z najwyższymi honorami, umieszczając w luksusowej willi na Zehlendorfie, ze służbą i doskonałym jedzeniem. Gdyby nie uzbrojeni po zęby wachmani na każdym korytarzu, miałbym wrażenie, że jestem na wakacjach. Rozmawiali ze mną marszałkowie, generałowie, adiutant Hitlera. Stawka była bardzo wysoka: zjednanie sobie koalicjanta i wspólna walka z Rosją. Po zwycięstwie Polska miała być traktowana na równi z Włochami i Japonią. Otrzymałbym nieograniczone pełnomocnictwa rządu. Pewnego razu odwiedził mnie generał baron von R. Twierdził, że pewne koła niemieckie chcą się porozumieć z aliantami i zakończyć wojnę. Hitlera zlikwidują. Powstrzyma to najazd Rosjan na Europę, Polska odzyska dawne terytoria. Przypomniał, że jestem w rękach Abwehry i wyrażenie zgody na współpracę ocali mi życie, bo Himmler już się niecierpliwi.

Odpowiadałem: nie. Nigdy się nie wahałem. Nie, zdecydowanie nie. Wiedziałem, że to oznacza śmierć. Byłem żołnierzem, i ona stała mi towarzyszyła. O jedno prosiłem Boga - by dał mi siłę godności w czasie tortur. Byłem katowany w twierdzy Spandau, a potem w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Wiara w Boga i w wolną Ojczyznę, zwykła przyzwoitość, pomogły mi przetrzymać nadludzki ból. Gdy rozstrzelowano mnie na początku sierpnia czterdziestego czwartego roku - o wybuchu Powstania Warszawskiego nie wiedziałem - mogłem stać spokojnie, z podniesioną głową.

Łzy spływały mi po policzkach. Pał dobrotliwie poklepywał mnie po ramieniu. Marszałek stukał laską w podłogę, jakby chciał skupić uwagę na sobie.

- Zyskałem wieczystą pamięć czynem i intuicją polityczną, to prawda. Prawdą jest także, że nadużywają mojej osoby do miernych gier politycznych, a wielu historyków pisze dyrdymały. Nikt jednak nie stawia pomników duszom, co nami kierują, a zasługiwałyby na to. Moja była miłością do litewskiej i polskiej ziemi, od morza do morza. Rwała się do czynu zbrojnego, by przywrócić Polskę światu, łopotała sztandarami - Bóg, Honor, Ojczyzna. Ślubowałem sobie: póki mojego żywota, póty jej wolę będę wypełniał. I tak się stało. Niewielu jednak podążało za moją myślą, trudno być prorokiem we własnym kraju. Fałszywe ambicje polityczne, partyjniactwo, korupcja, głupota ludzka szarpały jak wściekłe psy Odrodzone. Każde ukąszenie odczuwała moja dusza. Spopieliała z rozpacz, z bezsilnej niemocy. Powtarzałem wciąż: na marne, na marne. Umierałem wyczerpany.

Ręce położył na lasce i oparł o nie brodę. Spoglądał ponad łunę światła w granatową nieskończoność. Jego oczy błyszczały dobrocią. Lekko się uśmiechnął.

- Gospodarzu, wina - Marszałek podniósł pusty kieliszek. - Ach, wzięło nas na wspominki.

Cykady koncertowały na dobre. Noc była ciepła. Świetliki jak mikroskopijne lampeczki rzęsiście oblepiały krzewy i drzewa.

- W niemieckiej telewizji - zacząłem mówić - oglądałem film wydobyty z archiwów byłej węgierskiej bezpieki. Prawdopodobnie nakręcano go ukrytą kamerą. To wstrząsające obrazy. Odwet na uczestnikach Budapeszteńskiego Powstania. Niewielki pokój, stłoczeni w rzędach wymęczeni ludzie. Pośród nich Imre Nagy i Pal Maleter. Nie ma obrońców. Wyroki wydaje się taśmowo. Ostatnie słowa oskarżonych. Wielu kaja się, płacz: „ Podnieśliśmy rękę na władzę robotniczo-chłopską, wybaczone nam.“ Kto ma wybaczyć? Za stolikiem sędziowskim ledwo mieści się trzech katów. To oni ogłaszają wyroki już przyniesione w teczkach. Mordują jak w rzeźni. Wywołany Imre Nagy. Wstaje starszy siwy pan, przypomina niepozornego urzędnika, ale jest bohaterem i tej miary słowa wypowiada. Nie, nie broni się, ale oskarża: „ Kim wy jesteście, jakim prawem nas sędzicie?! Jestem dumny, że przewodziłem powstaniu ludu węgierskiego. Powinienem wyrazić żal, że byłem jednym z was, to tego należy się wstydić.“ Przerwywają mu. Śmierć. Ci, co zębrzą o życie, chodzą dzisiaj po ulicach tego miasta.

Jeszcze jeden wyrok przez rozstrzelanie. To Pal. Przystojny, czterdziestojednoletni mężczyzna. Co za kariera! Komendant koszar w Budapeszcie, czerwona arystokracja. Miał wszystko, czego zapragnął. A teraz w domu zrozpaczona żona, a on tu, na tej sali. Z pogardą patrzy na swoich nikkzemnych katów, ma poczucie własnej godności.

Wciąż zadaję sobie pytanie: po co to zgrywanie się przed samym sobą, po co kreowanie się na bohatera? Wynik: unicestwienie. A ci, co skamlali o litość, mówią do kamery telewizyjnej: „ Chciałem żyć! Walczyłem o życie.“ Czy przesypiają noce? Jakie jest to ich życie? Przecież Imre i Pal także chcieli żyć, mieli do tego prawo. To wieczne hamletowskie pytanie: być albo nie być!

Pal popatrzył na mnie.

- Odpowiedz sobie sam. Jak TY się dzisiaj czujesz? Idąc do stoczni myślałeś, że to droga bez powrotu. Przeżyłeś. Siedzisz dzisiaj na tarasie własnego domu, na ukochanych Węgrzech, „za burtą legendy" - jak sam napisałeś. Powtarzam jeszcze raz: odpowiedz sobie, jak ty się czujesz? No widzisz, teraz nas rozumiesz. To niekoniecznie "być albo nie być".

Książd Jerzy wstał. W świetle palących się świec i lamp naftowych prezentował się doskonale w swoim jasnym garniturze.

- Panie Marszałku, będziemy pomału żegnać gospodarza. Niedługo świt.

Protestowałem, ale Popiełuszko podszedł do mnie i wziął za ręce:

- Tyle sobie naopowiadaliśmy o ziemskich sprawach. One TAM nie mają żadnego znaczenia. Twoje życie będzie mgnieniem oka, chociaż mierzysz je wieloma latami. Wszystko przemija. TAM trafiają ci, którym sumienie nie zakłóca snu .

Podchodzili do mnie pozostali goście. Pal uściskał mi dłoń, Marszałek niewyraźnie mrużąc coś pod wąsem poklepał po ramieniu, Rowecki energicznie podał rękę, a Imre przytulił. Odprowadziłem ich do schodów. Zmęczony położyłem się spać.

Obudził mnie warkot silnika. To sąsiad spryskiwał krzaki winogron. Leżałem z przymkniętymi oczami i starałem się utrwalić ten nieprawdopodobny, fantastyczny sen. Powtarzałem sobie każdy szczegół.

Zszedłem na dół. Na tarasie stały krzesła i stoły pełne pustych naczyń i kieliszków. Zamurowało mnie. Nie zapraszałem żadnych gości! A może nie śniłem!? Jak to nie śniłem? przecież Marszałek, Ksiądz, Nagy, Pal, Rowecki...

- Junopodkiwanok Ksisiek - Istvan wyłączył silnik. - Tegnap nalad sok vendeg volt!*

*Dzień dobry ,Krzysiek (...). Wczoraj miałeś dużo gości!